

Wojciech Jarnzeński



Suwerenność

w warunkach

54309

Układu Warszawskiego



Wojciech Jaruzelski

**SUWERENNOŚĆ W WARUNKACH
UKŁADU WARSZAWSKIEGO**

Odczyt wygłoszony w Akademii Obrony Narodowej
w dniu 5 lutego 2002 roku

AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ
WARSZAWA 2002

Skład, druk i oprawa: Akademia Obrony Narodowej – Wydział Wydawniczy
00-910 Warszawa, al. gen. A. Chruściela 103, tel./faks 681-37-52
Zam. nr 190/2002

Milo mi - po wielu latach, i w tych murach, i w takim gronie - spojrzeć wspólnie na miniony czas, na tak istotny jego wymiar, jaki wyznacza zaproponowany mi do przedstawienia temat: „Suwerenność w warunkach Układu Warszawskiego”.

Zastanawiałem się, czego Koledzy ode mnie oczekują. Mam świadomość, że dla najmłodszych jestem swego rodzaju wykopaliskiem, sensacją archeologiczną. Dla innych byłem, przez wiele lat dowódcą, najwyższym przełożonym. Wreszcie politykiem, z którym kojarzą się różne dramatyczne wydarzenia, ale i przełomowe momenty w najnowszej historii naszego kraju. Będę najbardziej rad, jeżeli zechcecie mnie wysłuchać jako starszego kolegę, który spróbuje podzielić się swym doświadczeniem, refleksją o minionych dylematach, troską o sprawiedliwą ocenę wojska w przeszłości i jego pomyślność w przyszłości. Oczywiście przeszłość to wątek główny. W kontekście pojęcia suwerenność wypowiedziano, napisano, a nawet wykrzyczano bardzo wiele ocen, oskarżeń, potępień. Do części z nich mógłbym się przyłączyć,

etapować różnymi dotkliwymi, a nawet bolesnymi przykładami. Doświadczyłem ich niemało, zwłaszcza w groźnym 1981 roku. Oczywiście nie uniknę wskazania na różne anomalie minionego czasu. Ale nie z pozycji kreowania się na ukrytego przeciwnika Układu Warszawskiego, który z ówczesnymi sojusznikami – mówiąc kolokwialnie – robił z musu rytualnego „misia”, uczestniczył w toastach „za drużbu”, podkreślał znaczenie ówczesnej współpracy i przyjaźni. Nie lubię małodusznych wykrętów, dlatego też powiem, że było to i racjonalne, i szczere. O racjonalnym będę mówił dalej. A szczerść wynikała po prostu z wieloletnich kontaktów z Rosjanami, z ludzkiej sympatii do tych, z którymi moje żołnierskie pokolenie przeszło długą, przy tym nie pozbawioną – nazwijmy to bardzo oględnie – syberyjskich zgrzytów, ale per saldo przyjazną drogę. Nie będę też eksponował różnych grzechów PRL-u. O wielu niejednokrotnie publicznie mówiłem. Wyrażałem żal, ubolewanie, przepraszałem. Poprzez proces, prowadzący do Okrągłego Stołu, a następnie prezydenturę i pokojowe przekazanie władzy – najbardziej dobitnie wykazaliśmy, iż tamtą ustrojową kartę oceniamy krytycznie, że powinna zostać zamknięta. To jednak nie znaczy, że można ją nakreślić – zwłaszcza w obszarze Wojsko Polskie – tylko czarną farbą. Zresztą gdybym tak uczynił, obraziłbym wielu obecnych i nieobecnych na tej sali. Tych wszystkich, którzy w latach 60., 70. i 80. ochotniczo, dobrowolnie wstąpili do zawodowej służby w szeregach ludowego Wojska Polskiego, znając przecież jego historię, polityczne preferencje, sojusznicze usytuowanie,

składając przysięgę. Głosy o wasalizacji, zniewoleniu, polskojęzycznych oddziałach, „zasługach” Kuklińskiego itp. równają się pomówieniu o koniunkturalizm, karierowiczostwo, a w najlepszym wypadku o karygodną ślepotę, wielu tysięcy żołnierzy zawodowych, którzy de facto byli beneficjentami tamtego czasu – wtedy się kształcili, awansowali, rozwijali. Odrzucam taką interpretację. Kadra Wojska Polskiego, w każdym jego historycznym wcieleniu, godnie, sumiennie spełniała swą patriotyczną powinność. Jest kadrą solidną. W tym rozumieniu, iż jeśli była lojalna, a nie dwulicowa w przeszłości, w byłym sojuszu, to można mieć do niej zaufanie, można na nią liczyć również w nowych sojuszniczych realiach. „Być sobą”, nie udawać, że się było innym niż było, służyć zawsze Polsce takiej, jaką ona realnie jest – to żołnierskie credo w każdym historycznych warunkach.

Tyle przydługiego, ale moim zdaniem celowego wstępu. Przechodzę do rzeczy.

Po pierwsze – nie ma suwerenności absolutnej. Jest ona zresztą historycznie zmienna, przybierając zwłaszcza w okresie postępującej międzynarodowej integracji i globalizacji zupełnie nowe formy. Nawet w budowanych na w pełni dobrowolnej zasadzie, sojuszach i blokach demokratycznych państw, są – jeśli nie de iure to de facto – „równi i równiejsi”. To widać gołym okiem. Syndrom „starszego brata” jest zjawiskiem ponadczasowym i ponadustrojowym. Pozycji hegemonu nowego typu, co tak szeroko uzasadnia i charakteryzuje zwłasz-

cza prof. Zbigniew Brzeziński, nie należy więc traktować w sensie zgorzenia czy przygany.

Po drugie – pojęcie suwerenności interpretuje się i zwyczajowo ocenia przede wszystkim w kategoriach politycznych i wojskowych. A przecież obecnie, a tym bardziej w przyszłości coraz wyraźniej wyznaczać ją będzie potencjał ekonomiczny kraju. W tym obszarze suwerenność staje się wartością elastyczną, płynną. Owa płynność może prowadzić daleko, nawet za daleko. Chociażby bezprecedensowa wyprzedaż większościowego pakietu blisko 80 procent polskich banków zagranicznemu kapitałowi, a co za tym idzie niebezpieczne ograniczenie wpływu państwa, rodzimych czynników na tę kluczową dźwignię funkcjonowania gospodarki narodowej. Jak to się ma do szeroko pojętej suwerenności? „Pióropuszem” patriotycznych, niepodległościowych wykrzykników wyrównać tego się nie da.

Po trzecie – problem suwerenności nie może być rozpatrywany, oceniany ahistorycznie, abstrahując od realiów danego czasu. Polskę XVIII wieku, włącznie z jej końcowym kadłubowym kształtem, uznaje się za I Rzeczypospolitą, a nawet Księstwo Warszawskie jest notowane z respektem. Realistycznie, rzeczowo spojrzeć więc też należy na historię Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Ograniczenia suwerenności mają charakter protektoratowy bądź dostosowawczy. To pierwsze jest bardzo dotkliwe. Imperialne mocarstwo ingeruje, wywiera bezpośredni sterujący wpływ na ustrój, politykę wewnętrzną i zagraniczną, porządek prawny, nawet na skład ekipy rządzącej. Można powiedzieć, iż Polska do

1956 roku znajdowała się w stanie takiej właśnie zależności. Później można mówić o suwerenności dostosowawczej. To jest kiedy państwo politycznie, gospodarczo, militarnie słabsze musi uwzględnić, dostosowywać, liczyć się w swej polityce z interesami, regułami państwa dominującego w bloku. Tu znów odwołam się do prof. Brzezińskiego. W wydanej w 1964 roku książce pt. „Jedność i konflikty” pisze: *Wroźdy wobec komunizmu i Rosji Polacy nie powinni zapominać, co znaczyłaby Polska w ramach przymierza zachodniego. Zajmowałaby w skali świata miejsce po Ameryce, Niemczech, Francji, Italii i wielu innych państwach. Z uwagi na podstawowe znaczenie Niemców dla Ameryki, byłaby przegrana w jakimkolwiek konflikcie polsko-niemieckim. W obozie socjalistycznym proporcje są odwrotne. Polska jest największą demokracją ludową, trzecią po Związku Radzieckim i Chinach, a drugą w Europie.* Sądzę, że pan profesor dzisiaj chętnie połknąłby długopis, którym napisał te słowa. W jeszcze trudniejszej konsumpcyjnie sytuacji znalazłby się sztandarowy „sowietożerca” Leszek Moczulski, połykając całą wydaną w 1970 roku książkę swego autorstwa pt. „Kowboje i rakiety”. Jest to w quasi-profesjonalnym stylu, jedno wielkie oskarżenie NATO o agresywne zamiary i przygotowania. Oto jeden z reasumujących fragmentów: *Atlantycki blok militarny (...) tworzone nakładem ogromnych kosztów i środków materialnych w imię rzekomej obrony „ideałów zachodniego świata” przed „groźącą ze wschodu agresją”. Pokojowa polityka Związku Radzieckiego i krajów socjalistycznych obaliła od podstaw te absurdalne mity, dowiodła w całej rozciągłości, że ostatecznym rezultatem obrony owych*

„ideałów” stało się przekształcenie państw NATO w postulowanych satelitów USA, wciągniętych bez reszty w nurt niebezpiecznej polityki Waszyngtonu. No cóż – ja też połknąłbym wiele, choć nie tak smakowitych skrawków czy arkuszy papieru, ze słowami, które dziś uważam za anachroniczne i błędne. Sądzę, iż każdy myślący człowiek mógłby – oczywiście w odpowiedniej proporcji – powiedzieć podobnie. Chodzi przede wszystkim o to, ażeby uświadomić sobie, jak dystans czasu, doświadczenie, dana rzeczywistość zmieniają optykę. Jak trzeba być ostrożnym w wydawaniu sądów bez uwzględnienia uwarunkowań historycznej sytuacji. Do tej kategorii oczywiście nie zaliczam cudownych nawróceń, ekspresowego prania życiorysów i polityczno-cyrkowych wolt.

Kolejny wątek – czy można kwestionować Układ Warszawski jako sojusz? Znam na ten temat różne poglądy. Doceniam ich teoretyczną finezję. Chcę jednak sprowadzić problem do parteru – pytaniem, czy małżeństwo z rozsądku, z konieczności, a nawet z przymusu nie jest małżeństwem? Przy okazji przypominam sobie taki dowcip: „Pan to musi swoją żonę bardzo kochać? Oj, muszę, muszę”. A czy małżeństwo, w którym stosunki są nierównoprawne, nie jest małżeństwem? Przecież i w takim stadle toczy się jakaś gra interesów. Bywa coś za coś. Otóż byliśmy tym państwem w bloku, które nie tylko traciło, ale i zyskiwało. Naszym „coś” była granica na Odrze i Nysie Łużyckiej oraz szeroki dostęp do Bałtyku. Wiemy, z jakimi bólami i przeciwnościami to się rodziło i dokonało. Nie muszę odwoływać się do Bieruta czy Gomułki. Wystarczy, że przypomnę

opinie niektórych osób „pozostających poza wszelkim podejrzeniem”. Dla oszczędności czasu, aby nie cytować, wymienię pozycje niewątpliwie znane wielu tu obecnym: pamiętniki Winstona Churchilla „Druga wojna światowa” (tom VI), wspomnienia członka polskiej delegacji w Poczdamie Stanisława Grabskiego – „Na nowej drodze dziejowej”, czy też Czesława Miłosza – książka „Rok myśliwego”. Tylko krótki z niej cytat: *W 1945 roku polscy komuniści mieli rację: Polska mogła istnieć albo w kształcie nadanym jej przez Stalina, albo przestać istnieć.* Dalej Jan Nowak-Jeziorański. Wręcz dramatyczne opisy w książce „Polska z oddali”. Czy wypowiedź w czasie uroczystości 50-lecia Kongresu Polonii Amerykańskiej: *To jasne, że Kongres bronił granicy na Odrze i Nysie. Przecież bez ziem zachodnich Polska byłaby jak Księstwo Warszawskie.* Warto też przypomnieć jego telewizyjną rozmowę ze znanym działaczem emigracyjnym Tadeuszem Żenczykowskim (TVP program II, 9 marca 1995 roku godz. 17.00). Rozmówcy przypomnieli sytuację sekcji polskiej RWE na początku lat 60., kiedy zabroniono im mówić o granicy na Odrze i Nysie. Personel zagroził wówczas strajkiem. Wszystko to dzisiaj brzmi jak historyczna ciekawostka. A przecież niezaprzeczalnym faktem była wieloletnia walka o trwałość i jednoznaczność naszego terytorialnego status quo, w nowej europejskiej rzeczywistości. Gdy więc mówimy o Jalcie – nie zapomnijmy też o Poczdamie. Jego negatywnych, ale w tej materii i pozytywnych dla Polski konsekwencjach. Przyszły dalsze lata i dziesięciolecia. Pamiętne, w istocie kwestionujące naszą granicę zachodnią, wystąpienie se-

kretarza stanu USA Jamesa Byrnesa w Stuttgardzie 4 września 1946 roku. Podobne w swej wymowie premiera Wielkiej Brytanii Heralda Mac Millana, na 15 Sesji ONZ 29 września 1960 roku. Każdy podmuch zimnej wojny niósł nową dawkę niepokoju. Również dramatyczny 1981 rok nie był od tych skojarzeń wolny. Aż do 1990 roku - z różnym natężeniem, w różnym, nazwę to, „opakowaniu” - był to wielki problem narodowy. Pamiętam, że zwłaszcza w 50-60. latach pojęcie polska racja stanu brzmiało niemal jak szyfr. Kryła się za nim myśl, że jeśli ktoś jest nawet przeciwnikiem Związku Radzieckiego, członkostwa w Układzie Warszawskim - to usytuowanie w nim jest żywotnie dla Polski ważne, właśnie z uwagi na granicę zachodnią. Słyszysz się często - to był „komunistyczny straszak”. Być może sytuacyjna temperatura, jej artykulacja brzmiała nieraz ponad rzeczywistą miarę. Ale nigdy nie był to „dym bez ognia”. Wielu tego nie pamięta, a wielu pamiętać nie chce. Przecież obok aspektów międzynarodowych, politycznych, militarnych był to również, zwłaszcza do 1970 roku, wielki problem społeczno-gospodarczy. Mieszkańcy Ziem Zachodnich przez długie lata mieli poczucie tymczasowości. Odbijało się to ujemnie na budownictwie, remontach, wykorzystaniu ziemi. Stopniowo sytuacja się zmieniała, ale nie do końca. Wiosną 1990 roku, kiedy zarysowało się zjednoczenie Niemiec, pojawiła się nowa fala niepokoju. Nie była pozbawiona podstaw. Znów powołam się na Jana Nowaka Jeziorańskiego, na jego artykuły w „Rzeczpospolitej” - w numerach z 25-26 lutego 1995 oraz z 22 sierpnia 1996 roku. Jako prezydent wi-

zytowałem ową wiosną pas nadodrzański. Ile się nasłuchałem lęków, pytań, wątpliwości. W maju na wojennym cmentarzu w Siekierkach nad Odrą odbyła się wielka uroczystość patriotyczno-religijna. Niewątpliwie dobrze ją pamięta były dowódca 12 szczecińskiej dywizji, generał Bolesław Balcerowicz. „Gospodarzem” uroczystości był biskup (późniejszy arcybiskup) Kazimierz Majdański. W homilii m.in. powiedział: (...) *jak będzie dalej. Zapewnienia się mnożą, widocznie są potrzebne. Czy będą trwałe? Na jakim są budowane fundamenty?* To było tam wówczas odczucie powszechne. Ja miałem świeżo w pamięci znamieny fakt. W pierwszych dniach maja składał wizytę w Polsce prezydent Republiki Federalnej Niemiec Richard Weizaeker. Przygotowując program, sugerowaliśmy odwiedzenie Szczecina. Jak się później dowiedziałem, sprawcą odrzucenia tej propozycji był Helmut Kohl. Przy okazji warto przypomnieć, iż jedynymi wśród przywódców wielkich państw, jacy odwiedzili Szczecin, był Nikita Chruszczow w 1959 roku oraz Michaił Gorbaczow w 1988 roku.

Patrząc z dystansu, bez emocji, łatwiej jest odczytać logikę tamtego czasu. Z jednej strony Niemcy, RFN gorzko przeżywający klęskę wojenną, utratę znacznej części terytorium oraz wynikające stąd nadzieje i oczekiwania rewindykacyjne. Z drugiej strony ich - zachodni sojusznicy, którzy kierując się globalnymi racjami przez całe dziesięciolecia tolerowali lub w bardziej, czy mniej oględny sposób dawali wyraz zrozumieniu i poparciu dla tych dążeń. A wszystko to w kontekście antagonistycznego podziału Europy i świata. Mówię

o tym wszystkim tak obszernie, ponieważ trwałość, nie-naruszalność granic to temat numer jeden dla armii, dla sił zbrojnych. On też był jednym z głównych czynników rozumienia wagi sojuszniczych gwarancji, jednoznacznego poparcia ze strony członków Układu Warszawskiego, w tym istotnego buforu w postaci NRD. Krótko mówiąc – nasze Ziemie Zachodnie były swego rodzaju zakładnikiem. W każdej, zwłaszcza napiętej sytuacji wewnętrznej, czy międzynarodowej musieliśmy to brać pod uwagę. W tym kontekście na zestawienie pojęć: suwerenność i Układ Warszawski trzeba spojrzeć głębiej, bardziej analitycznie. Mógłbym oczywiście temat ten jeszcze bardziej rozwinąć, uszczegółowić, wyjaśnić ewentualne wątpliwości. Czas na to nie pozwala. Przypomnę więc jedynie bardzo interesujący wywód profesora Marcina Króla. Podsumowując w czerwcu 1993 roku wielomiesięczną dyskusję na temat PRL, która toczyła się na łamach „Nowej Res Publiki”, stwierdził on, że ze zmian, jakie miały miejsce w latach 1944–1989, ważne i brzemiennie w długotrwałe konsekwencje okazały się trzy:

- kształt terytorialny Polski, co na stuleciu zaważy na sytuacji politycznej i gospodarczej;
- obalenie barier społecznych i klasowych oraz zniesienie tych barier w kulturze i obyczajowości;
- uzyskanie niema jednolitego narodowo społeczeństwa.

Marcin Król mówi: *Polska na tych latach wyszła nadspodziewanie dobrze i wiele opłaciłoby się zapłacić za uzyskanie takiego terytorium, takiego społeczeństwa, bez różnic sta-*

nowych i takiego kraju niemal bez mniejszości narodowych. W konkluzji stawia pytanie: Czy nie uzyskalibyśmy analogicznych rezultatów bez zapłacenia potwornych i dobrze nam znanych kosztów. Odpowiadam z całym przekonaniem i z całą przykrością, że nie.

Następny istotny problem, a właściwie pytanie, czy Polska mogła nie wejść, nie znaleźć się w Układzie Warszawskim? Kto tak myśli, po prostu bredzi. Jego powstanie i funkcjonowanie to nie była przyczyna ograniczonej suwerenności, ale jedna z głównych jej konsekwencji. Geostrategiczne położenie naszego kraju przesądza, iż nie może on być „wolnym elektronem”. Stąd też i obecnie, w rezultacie wielkiego międzynarodowego „przetasowania” logiczne i uzasadnione stało wejście Polski do NATO. To nasz wielki historyczny sukces. Natomiast zastanówmy się nad – nazwę to – polem suwerenności. Może być szerokie i może być wąskie. Ale po pierwsze – nie była to forma statyczna, a proces, który przez całe lata i dziesięciolecia, z większą czy mniejszą systematycznością i konsekwencją zmierzał w pozytywnym, poszerzającym to pole, kierunku. Niech za ilustrację posłuży porównanie jakże różnych warunków z pierwszej połowy lat 50. i drugiej połowy lat 80. Dodam, iż wprowadzenie stanu wojennego, jako dowód własnej siły i sprawności, było ważnym krokiem na tej drodze.

Dalej – to szczególny status Polski. W wielu istotnych obszarach byliśmy poza doktrynalną normą, a niekiedy wręcz heretycką wyspą. A jednocześnie nie da się wszystkich błędów i niepowodzeń zrzucić na sojuszniczą obręcz. Przykładowo: uwięzienie prymasa Ste-

fana Wyszyńskiego nastąpiło po śmierci Stalina. Decyzja Władysława Gomułki z grudnia 1970 roku nie była dyktowana przez Układ Warszawski – można powiedzieć – wręcz przeciwnie. Wkroczenie do Czechosłowacji w 1968 roku nastąpiło nie tylko przy aprobacie, ale wręcz naleganiu ze strony Gomułki i Ulbrichta. Podobną rolę w stosunku do Polski w latach 1980–81 spełniali Honecker i Husak. Nie zdążyli – uprzedził ich 13 grudzień.

Wreszcie – jaka była nasza taktyka i strategia na tym polu? Rozszerzać je, gdzie tylko i jak się da, ale nie przekroczyć granic poza którymi nastąpić może wariant węgierski – '56 czy czechosłowacki – '68. Jednym słowem wiele ruchów, posunięć taktycznych, których suma prowadzi do coraz wyższego poziomu suwerenności. W tym miejscu może paść pytanie – a jednak Rumunii udało się pójść dalej, uzyskać więcej. W jakimś sensie tak. Ja jednak dziękuję za taki rumuński status. Przypomnę, jakie były jego uwarunkowania i koszty. Geostrategiczne położenie i w ogóle miejsce Rumunii w Układzie oznaczało, iż kogucie ruchy Cauceascu przynosiły skutek na miarę monotonnego brzęczenia komara przy uchu niedźwiedzia. Na różnych posiedzeniach i naradach widziałem to wielokrotnie. Ale najistotniejsze było to, iż Rumunia płaciła za ten status jaskiniową ortodoksją, brutalnym reżimem, nędzą społeczeństwa, jak też pozycją drugiej kategorii w ramach Układu, ze wszystkimi tego konsekwencjami, w tym również degradacją w poziomie, w uzbrojeniu i wyposażeniu sił zbrojnych. Suwerenność jest wielką wartością, ale nie za taką cenę. Zachodnie pochwały i orderzy dla Cauceascu z brytyj-

skim tytułem szlacheckim włącznie to mizerna rekompensata. A propos. To stosowna okazja, aby przywołać fragment z fundamentalnego dzieła Henry Kissingera „Dyplomacja”: *Administracja Reagana wspierała nie tylko autentycznych demokratów (jak w Polsce), ale także współdziałających z Irakińczykami islamskich fundamentalistów w Afganistanie, zwolenników prawicy w Ameryce Środkowej i plemiennych kacyków w Afryce (...). Mieli wspólnego wroga, a w świecie interesu narodowego na tym właśnie buduje się sojusze. Wszystko to (...) stawiało Amerykę przed trudną kwestią, mianowicie – jakie cele mogą uświęcać, jakie środki?* Szczerść tej wypowiedzi zasługuje na szacunek i stosowną refleksję.

Koledzy mogą zadać uzasadnione pytanie – dlaczego wbrew tematowi odczytu mówię stosunkowo niewiele o Układzie Warszawskim. Mógłbym skwitować to znaną maksymą: „de mortuis nil nisi bene”. Ale nie schowam się za tę szlachetną formułę. Ten „nieboszczyk” jest i będzie jeszcze długo i zasłużenie, a czasami mniej zasłużenie targany za uszy. Właściwie niemal wszystko, o czym mówię, ma z nim bezpośredni lub pośredni związek. Problem polega na tym, iż Układ ten był swego rodzaju ramą, szablonem położonym na istotę stosunków w tzw. obozie państw socjalistycznych. Tyle już powiedziano i napisano o ich nierównoprawnym charakterze, że mnożenie kolejnych przykładów tego obrazu nie zmieni. Dlatego też ograniczę się do pewnych wątków i nie tyle dogłębnej analizy, co uwag oraz impresji. Przy tym mając pełną świadomość ciężaru ówczesnej sytuacji, w tym różnych politycznych i wojsko-

wych serwitutów, skupię się na tym, co charakteryzowało procesy decyzyjno-realizacyjne, a w rzeczywistości miejsce i rolę Polski i naszych sił zbrojnych na tym tle. Jak wiadomo, Układ Warszawski formalnie rzecz biorąc, powstał w maju 1955 roku, jako reakcja na wprowadzenie Bundeswehry do istniejącego już od kilku lat paktu NATO. Owa reakcja to był ruch bardziej symboliczny, spektakularny niż praktyczny. Jedyłą wówczas sformalizowaną płaszczyzną stał się reprezentowany przez przywódców sojusznicznych państw Doradczy Komitet Polityczny. Z kolei X Zarząd Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej z udziałem przedstawicieli, w istocie generałów łącznikowych, z poszczególnych krajów miał zapewnić niezbędne kontakty i roboczą koordynację. Przyjęto zasadę, że naczelnym dowódcą Zjednoczonych Sił Zbrojnych będzie wiceminister obrony ZSRR. Pierwszym został marszałek Iwan Koniew – jeden z najśłynniejszych w II wojnie światowej dowódców frontów. Z jego imieniem związane jest – jak wiadomo – wyzwolenie Krakowi i Śląska. Cyklicznie przebiegało odmładzanie na tej funkcji. Nominacje były uzgadniane z kierownictwami państw bloku. Dla nas szczególnie interesująca okazała się okoliczność, iż kandydaci mieli zapisaną frontową kartę na terenie Polski. Kolejno – marszałek Andrej Greczko, jako dowódca armii – Bielsko Białą. Marszałek Iwan Jakubowski, jako dowódca brygady pancerniej – przyczółek sandomierski, Częstochowa. Marszałek Wiktor Kulikow, jako szef sztabu brygady pancerniej – Gdańsk. Ostatni – generał armii Piotr Łuszew – był szefem sztabu batalionu, ale jego drogi bojo-

wej nie znam. To wszystko miało swoją wymowę. Emocjonalnie zaangażowaną „na plus”, kiedy wszystko toczyło się – nazwijmy to – normalnie. Kiedy powstały napięcia, sytuacje konfliktowe, a w nich zwłaszcza akcenty antyradzieckie, reakcje „na minus” potęgowało poczucie osobistej i przykrości i afrontu. A w ogóle mówiąc o różnych sytuacjach i relacjach nie wolno zapominać, iż obok istniejących zasad, norm, obiektywnych uwarunkowań, zawsze występuje czynnik ludzki. Dbaliśmy o to, aby zyskiwać jego szacunek, sympatię i przychylność dla Polski. To w wielu konkretnych sprawach, ważnych czy prestiżowo, czy praktycznie przynosiło efekty. W 1981 roku skrajnie napięta struna nie została zerwana właśnie z uwagi na wciąż jeszcze minimum zaufania, jakie rządząca ekipa, a zwłaszcza Wojsko Polskie, w poczuciu własnej siły i możliwości, potrafiło zapewnić.

Ewolucja Układu Warszawskiego postępowała na różnych polach, a przede wszystkim w dziedzinie obronności, sił zbrojnych. Ważnym krokiem stało się powołanie w 1969 roku Sztabu Zjednoczonych Sił Zbrojnych. Znow nie oceniam różnych jego ograniczeń, ułomności i oczywiście dominacji „starszego brata”. Faktem jednak jest, iż na ogólną liczbę 523 merytorycznych pracowników tego sztabu, 173 stanowili oficerowie spoza Armii Radzieckiej, w tym 43 to byli usytuowani w różnych specjalistycznych pionach przedstawiciele Wojska Polskiego. Mieli co prawda decyzyjnie „ręce krótkie”, ale „oczy i uszy otwarte”. Stanowili swego rodzaju stopniowo umacniający się przyczółek w koalicyjnej

strukturze. Myślę, iż mogliby więcej powiedzieć na ten temat zwłaszcza ostatni polscy zastępcy szefa Sztabu Zjednoczonych Sił Zbrojnych: generałowie Wacław Szklarski oraz Zbigniew Blechman. Kolejnym aktem było przyjęcie w 1979 roku Statutu Zjednoczonych Sił Zbrojnych na czas wojny. Egzegeza tego dokumentu bez trudu ujawnia takie jego ustalenia, z którymi nie łatwo było się pogodzić. Dotyczy to zwłaszcza wielce wyeksponowanej roli Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej. Istota sprawy sprowadzała się do tego, iż jedynie ZSRR, Armia Radziecka dysponowała pełną paletą strategicznych możliwości, a przede wszystkim wyłącznością potęgi raketowo-jądrowej. Dyskusja trwała kilka lat, była trudna, momentami nawet ostra i kłótliwa. Co więcej, również naczelny dowódca - marszałek Kulikow - głównie ze względów prestiżowych miał poważne zastrzeżenia. Z drugiej strony jako istotny uznany został statutowy zapis, stanowiący, że Najwyższego Naczelnego Dowódcę Zjednoczonych Sił Zbrojnych mianuje, a skład Najwyższego Naczelnego Dowództwa się ustala na mocy decyzji państw-stron Układu Warszawskiego. A więc koalicyjnie. Wreszcie sprawę zakończono, zostawiając jednocześnie furtkę dla dalszych badań, doświadczeń, dyskusji. Trwały one faktycznie aż do końca. Dla nas ważniejsza była konkretyzacja dowodzenia na Zachodnim Teatrze. Zostało powołane jego dowództwo na czele z marszałkiem Nikołajem Ogarkowem, z siedzibą w Legnicy (dowództwo Północnej Grupy Wojsk przeniesiono do Świdnicy). Byli narodowi zastępcy - z Polski generał Antoni Jasiński, z odpowiednią ekipą,

plus 60 oficerów wchodzących w skład poszczególnych ogniw dowodzenia. Istotne było to, że podejmowane decyzje oraz dyrektywy kształtowały się z udziałem oraz docierały w praktyce do polskiego frontu poprzez polskiego zastępcę dowódcy. Weryfikowano ten mechanizm na kilku ćwiczeniach. Sprawy kadrowe, logistyka, prokuratura, sądy pozostawały wyłącznie w gestii narodowego dowództwa. W sumie był to wciąż połowiczny, ale jednak znaczący postęp w kształtowaniu procedur koalicyjności. Wcześniej jeszcze mieliśmy własną, tworzoną przez lata i dziesięciolecia, tkankę doświadczeń. Podkreślę szczególną rolę wielkich, o strategicznym charakterze ćwiczeń frontowych. Pamiętam, iż jako szef Sztabu Generalnego przygotowywałem, a jako minister obrony narodowej kilkoma z nich osobiście kierowałem, a następnie dokonywałem doktrynalnych, operacyjno-strategicznych podsumowań. W sensie koalicyjnym szczególnie ważne było to, iż w czasie tych ćwiczeń w skład polskiego frontu wchodziły, podlegały mu armie wydzielane z sił zbrojnych ZSRR i Czechosłowacji oraz korpusy z NRD. Były też liczne wspólne ćwiczenia z wojskami, przez stronę polską organizowane i kierowane. Pozycja Wojska Polskiego, jego dowódczych i sztabowych kadr była wysoka. Wiele naszych rozwiązań i doświadczeń w obszarze metod i technik dowodzenia, szkolenia, organizacji, mobilizacji, logistyki było śledzonych z uwagą i przenoszonych nieraz do innych armii. Pozwolę sobie zachęcić do spojrzenia na ów dorobek. To oczywiście historia. Ale przecież każde pokolenie sięga nawet na zasadzie konfrontacji, kontrastu,

przeciwieństwa do doświadczeń i przeciwników, i poprzedników. II wojna światowa przez długie lata dostarczała takiego tworzywa. Dziś jest ono nie tylko historią, ale wręcz prehistorią. Myśl i technika wojskowa szybuje na zupełnie innej orbicie. Są przecież i na tej sali autorzy erudycyjnych, śmiałych rozważań i propozycji. Dorobek komendanta Akademii generała profesora Balcerowicza oraz szeregu innych jej naukowych pracowników jest tego znaczącym przykładem, dostarczającym poznawczo-intelektualnej inspiracji i tworzywa. To co powiem, może zabrzmieć pretensjonalnie. Czy jednak nie warto – mówię to z całą świadomością proporcji – spojrzeć także czasami „na wojny” – które na szczęście zakończyły się na poligonie, na mapach, na papierze? Jest w nich częśćka własnej, suwerennej myśli i ciężkiego znoju polskiego żołnierza, oficera, generała, w tym wysoko profesjonalnej „kuźni”, jaką była ASG, a obecnie jest AON.

No właśnie – jak było z tą suwerennością myśli? Zaczęło od prostacko brzmiących, lecz jakże trafnych słów Wellingtona „armia maszeruje na brzuchu”. Myśl może być nawet bardzo skrzydlata, lecz jeśli zbyt oddali się od ziemi, stanie się po prostu jałowa i pusta. W danym wypadku „ziemia” to rzeczywistość społeczno-polityczna, a przede wszystkim materialna, gospodarcza, cywilizacyjno-technologiczna. Suwerenność myśli polegała właśnie na mocnym osadzeniu w polskich realiach. Ponieważ kierunek i obraz potencjalnego zagrożenia oraz model ewentualnej wojny był klarowny, stąd pojawiało się mniej intelektualno-doktrynalnych poszukiwań i wzlotów, natomiast bardzo wiele pragmatycznych ini-

cjatyw, koncepcji i rozwiązań. Z kolei zrozumiałe, że w sferze związanej z frontem zewnętrznym istniała konieczność liczenia się z doktryną głównego partnera, dysponującego wszystkimi, w tym najpotężniejszymi środkami. Nie chodziło nawet o jakieś nakazy czy zakazy. Po prostu trudno, a nawet niepoważnie byłoby planować działania polskiego frontu według jakichś odmiennych zasad strategii i sztuki operacyjnej. W tym gronie problem interoperacyjności nie wymaga wyjaśnień. Generalia musiały więc być wspólne i były wspólne. Natomiast realizacyjnie byliśmy sobą. Każde ćwiczenie, każde istotne rozwiązanie nosiło zauważalny ślad własnej interpretacji, na gruncie posiadanej wiedzy, inwencji, rzeczywistych potrzeb i możliwości. Reasumując – udało nam się zachować zarówno podstawowe narodowe atrybuty w ramach frontu zewnętrznego, jak też pełną suwerenność i oryginalność rozwiązań w obszarze frontu wewnętrznego. W tym kontekście słyszałem i czytałem pochlebne opinie naszych obecnych sojuszników o wysokim profesjonalizmie polskich kadr. To wielka zasługa naszych uczelni wojskowych. Właśnie tu – chcę podkreślić to z satysfakcją i szacunkiem.

Słuchający mnie mogą pomyśleć – mówiłeś o „skrzydlatych myślach”, ale co masz do powiedzenia o „skrzydlatych planach”, sięgających swymi strzałkami do Atlantyku czy na Borholm. To temat na wielką rozprawę, w czasie której sztaby byłego Układu Warszawskiego, a zwłaszcza byłego Związku Radzieckiego, z drugiej zaś strony NATO, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych położyłyby mapy na stół, przedstawiły ówczes-

sne - podkreślam ówczesne - oceny, racje, kalkulacje. Byłoby to arcyciekawe studium historyczne. Niestety, nie wierzę w jego realność. Pozostają dywagacje, spekulacje, insynuacje. Do tych ostatnich należy pogląd, iż Związek Radziecki, Układ Warszawski, a więc i my przygotowywaliśmy agresję, napaść, militarny podbój Europy i świata. Nie wiem - może kiedyś tak było, ale na pewno nie w ostatnich dekadach. Już pomijając wszystkie inne względy, istniała pełna świadomość, że w warunkach obustronnego posiadania potężnych termojądrowych arsenałów, każdy kto rozpocząłby wielką wojnę, byłby zabójcą i samobójcą jednocześnie. Układ Warszawski był dzieckiem i zarazem narzędziem zimnej wojny. Ale jak wiadomo, ażeby urodziło się dziecko potrzebne są „dwie strony”. Różny może być ich udział, różne motywacje. Jest oczywiste, że były Związek Radziecki niesie wielką odpowiedzialność za powstanie i utrwalenie antagonistycznych podziałów, za obsesyjny hermetyzm, narzucanie rozwiązań ustrojowych i ograniczanie praw człowieka w sferze swej dominacji, za różne konfliktowe sytuacje. To wszystko prawda. Ale mimo to nie należy podziału Europy i świata oceniać w sposób płytki i uproszczony. Mam świadomość globalnej roli Stanów Zjednoczonych. Ich historycznych zasług w walce o świat demokracji, o przewyciężenie przekleństwa jałtańskiego podziału. Ale jednocześnie wiemy, że to właśnie prezydent generał Dwight Eisenhower ostrzegał przed amerykańskim kompleksem militarno-przemysłowym. Zachód miał również swoje wstydlive karty, chociażby rasizm, szokujące kontrasty,

wojny kolonialne. „Strzałki” to też nie tylko specjalność jednej strony. 6 lipca 1997 roku przeczytałem na łamach tygodnika „Wprost” wywiad udzielony red. Piotrowi Cywińskiemu przez gen. Klausea Naumanna - od 1991 roku generalnego inspektora Bundeswehry, a od 14 lutego 1995 roku przewodniczącego Komisji Wojskowej NATO. Cytuję: *W okresie zimnowojennym punkty dowodzenia były w stałej gotowości do przeprowadzenia zmasowanego natarcia w całej Europie i na Atlantyku. Sądzę, że zmniejszenie ich liczby oraz zmiana zakresu działania zostaną dostrzeżone w Moskwie, jako element tworzenia zaufania.* Na szczęście są to rozważania już tylko historyczne. Można by je prowadzić w nieskończoność. Wyjaśniać naturę spirali zbrojeń. Na ile były one - parafrazując von Clausewitza - kontynuacją polityki, a na ile polityka była ich kontynuacją. Prawda leży chyba pośrodku.

Moja, nasza żołnierska, dowódcza generacja chce przede wszystkim obiektywnie, uczciwie ocenić i rozliczyć własny odcinek drogi. Dzisiaj jestem mądrzejszy o minione lata, o nawarstwiająca się wiedzę, o głębsze refleksje. Natura owego konfrontacyjnego czasu powodowała, że każda ze stron widziała militarne siły i zamiary potencjalnego przeciwnika przez powiększające, a w dodatku przyczernione szkło. Generalnie rzecz biorąc na Wschodzie, przede wszystkim na lądzie, przeważała ilość; na Zachodzie, głównie na morzu i w powietrzu, przeważała jakość. W stosunku sił był to więc swoisty remis. Ale był to stan ruchomy. Spirala zbrojeń miała swój rytm. Na jej tle trwało wzajemne oskarżanie, demonstracje siły, napinanie mięśni. Jednym z tego

przejawów był właśnie wielki rozmach planowanych i ćwiczonych operacji, masowe użycie broni jądrowej, woluntarystyczne, nierealnie wysokie tempo natarcia. Tego w istocie nie kamuflowano. Oto najlepszy dowód, że „potrząsanie maczugą” traktowane było jako najskuteczniejszy sposób, aby jej nie użyć. Zachód miał też swoją „maczugę”. W rezultacie kontrolowały się one i blokowały nawzajem. Nieprawdą jest, że w jakichkolwiek planach czy ćwiczeniach zakładano rozpoczęcie działań wojennych przez naszą stronę. Zawsze była to agresja z Zachodu. Przeciwnik włamywał się w głąb NRD, wysadzał desanty, w tym również na polskim Wybrzeżu. Była to więc dla nas faza obronna. Trwała 2 do 4 dni. Później następowało przeciwuderzenie, kontrofensywa. Taka papierowa czy poligonowa wojna kończyła się oczywiście zawsze zwycięstwem naszej strony. I ile mi wiadomo, podobnie triumfalnie kończyły się ćwiczenia naszego przeciwnika. Może powstać pytanie – po co więc to wszystko było? Jaki był sens naszej wieloletniej służby, środków przeznaczanych na wojsko, na obronność, całej tej uciążliwej szarpaniny? Zanim odpowiem na to pytanie, przypomnę, że wojsko w stosunku do milionów młodych ludzi spełniło istotną rolę wychowawczą, cywilizacyjną, oświatową. Przez lat wiele była to jedna z ważnych dróg społecznego, technicznego i kulturalnego awansu. Że wreszcie bez tego etapu trudno sobie wyobrazić siły zbrojne współczesnej Polski, ich pozycję, doświadczenie, kadre. Ale odpowiadając wprost na pytanie o ów sens wyrażę opinię, iż był on przede wszystkim konsekwencją powstałego po drugiej

wojnie światowej kształtu podzielonej Europy i świata. Uważam, iż w tamtych realiach, w ramach owej ograniczonej suwerenności, polityka zagraniczna i obronna Polski były optymalne. W sytuacji – jak nazywano – równowagi bezpieczeństwa stron, a w istocie równowagi strachu, polski komponent, w szczególności nasze centralne położenie, potencjał ludnościowy, gospodarczy, militarny – stanowił jeden z kluczowych czynników tej równowagi. Na ile potwierdzało to życie, niech poświadczą słowa oficjalnie wypowiedziane przez Leonida Breżniewa 1 marca 1982 roku: *Gdyby komuniści ustąpili drogi kontrrewolucji, gdyby drgnęli pod wściekłymi atakami wrogów socjalizmu, losy Polski, stabilność w Europie, a również w całym świecie byłyby zagrożone*. Krótko i jasno. Chodziliśmy nieraz jako Polska – mówiąc obrazowo – po linie. Nie spadliśmy jednak z niej nigdy. Jest w tym ogromna zasługa wojska. Co więcej, to polska strona wprowadzała często spokój i umiar do koalicyjnych ocen i rozwiązań. Byliśmy zawsze na pierwszej linii inicjatyw i rokowań odprężeniowo-rozbrojeniowych. Być może zabrzmiało to nieskromnie, ale pozwolę sobie zacytować słowa Michaiła Gorbaczowa z jego książki pt. „Życie i reformy”, rozdział 32: „Wojciech Jaruzelski sojusznik i jednakowo myślący (po rosyjsku „jedinomyślnik”): *Do kręgu aktualnych problemów, jakie rozpatrywaliśmy z Jaruzelskim, należał temat redukcji zbrojeń. Sposób myślenia polskiego lidera o kluczowych problemach obrony i polityki był mi bliski. Byłem wtedy bardzo zajęty przygotowaniem do zasadniczych rokowań z Zachodem w sprawie redukcji zbrojeń. To brzmi ogólnie, ale dla Gorbaczowa,*

który miał narastające problemy z własnym kompleksem militarnym, moje polityczno-profesjonalne wsparcie nie było – jak sądzę – bez znaczenia. Na tym tle chcę pokazać, że opracowany z naszym aktywnym udziałem i przyjęty w maju 1987 roku przez Doradczy Komitet Polityczny, dokument „O doktrynie wojennej państw-uczestników Układu Warszawskiego” stanowił doniosły krok na drodze odprężenia i ograniczenia zbrojeń. Rokowania wiedeńskie potwierdziły to w praktyce. Bardzo zachęcam do zapoznania się z tym dokumentem. Ja dziś – prosząc o cierpliwość – pozwolę sobie zacytować jego końcowy fragment: *Państwa-uczestnicy Układu Warszawskiego proponują państwom-członkom Sojuszu Północnoatlantyckiego przeprowadzenie konsultacji w celu skonfrontowania doktryn wojennych obydwu sojuszy, analizy ich charakteru, wspólnego rozpatrzenia kierunków ich dalszej ewolucji, mając na względzie usunięcie nagromadzonych przez lata podejrzliwości i nieufności, osiągnięcie lepszego wzajemnego zrozumienia zamierzeń, zapewnienie, aby koncepcje i doktryny bloków wojskowych oraz ich uczestników bazowały na zasadach obronnych. Przedmiotem konsultacji mogłyby stać się także niezbilansowanie i asymetria w poszczególnych rodzajach uzbrojenia i sił zbrojnych oraz poszukiwanie dróg ich usunięcia na zasadzie ograniczenia tego, kto uzyskał wyprzedzenie, w takim rozumieniu, że takie ograniczenia doprowadzą do ustalenia jeszcze niższych poziomów. Państwa-uczestnicy Układu Warszawskiego proponują przeprowadzenie takich konsultacji na autorytatywnym eksperckim poziomie, z udziałem wojskowych specjalistów obydwu stron. Są oni gotowi do przeprowadzenia takich konsultacji już w 1987 roku.*

Cytuję powyższe z satysfakcją, ponieważ jeszcze w listopadzie 1986 roku zasygnalizowałem inicjatywę, a następnie strona polska oficjalnie zgłosiła plan (firmując go zresztą moim nazwiskiem), które bardzo konkretne propozycje idą zdecydowanie w kierunku zwiększenia międzynarodowego zaufania, ograniczenia, w tym terytorialnego rozrzedzenia zbrojeń. Oto kolejny krąg rozważań wokół charakteru naszego uczestnictwa i jego wzrastającej roli w realiach Układu Warszawskiego.

Wracam do problematyki związanej bezpośrednio z jego funkcjonowaniem. Ograniczę się do ogólnego szkicu koalicyjnych struktur i procedur. Generalia na tle oceny sytuacji międzynarodowej ustalał Doradczy Komitet Polityczny. Funkcjonował również Komitet Ministrów Obrony Narodowej, Rada Wojskowa oraz Komitet Techniczny Zjednoczonych Sił Zbrojnych, a przy nim Rada Naukowo-Techniczna. Posiedzenia tych gremiów, z reguły poprzedzane roboczymi konsultacjami i uzgodnieniami, odbywały się rotacyjnie pod przewodnictwem przedstawiciela „państwa gospodarza”. Podstawowym dokumentem był opracowywany w cyklu 5-letnim „Protokół rozwoju sił zbrojnych wydzielanych w skład Zjednoczonych Sił Zbrojnych”. Chcę zwrócić uwagę na jedno słowo – mowa jest bowiem nie o siłach wydzielonych, a wydzielanych. Litera „a” – oznacza, że nie są to siły oddane do dyspozycji Układu już w czasie pokoju, a dopiero w momencie podjęcia zadań czasu wojny. W tym miejscu podzielę się takim wspomnieniem. W 1967 roku delegacja Wojska Polskiego pod przewodnictwem ministra obrony narodowej marszałka Mariana

Spychalskiego, w której składzie jako szef Sztabu Generalnego się znajdowałem, składała wizytę, a właściwie rewizytę w Królestwie Belgii. Minister obrony tego kraju Charles Posvick z zadowoloną miną poinformował już na wstępie, iż uzyskał zgodę dowództwa NATO na odwiedzenie przez nas niektórych jednostek armii belgijskiej. Marszałek Spychalski podziękował, jednocześnie – nie bez ironii – dodając, iż w czasie ubiegłorocznej wizyty pana Posvicka w Polsce nie musiał prosić Dowództwa Układu Warszawskiego o jakąkolwiek zgodę. Mówienie w tym kontekście, iż byliśmy bardziej suwerenni, byłoby oczywiście grubym nadużyciem. Niemniej jednak nie wszystkie aspekty koalicyjnej zależności dadzą się ująć w jednoznacznym uproszczeniu.

Teraz o wspomnianym już „Protokole...”. Podpisywali go dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych oraz minister obrony narodowej, a zatwierdzał prezes Rady Ministrów. Był to zestaw podstawowych ustaleń dotyczących przede wszystkim składu, organizacji, uzbrojenia frontowej części sił zbrojnych danego kraju. Tu znów trzeba podkreślić, iż owa procedura nie miała nic z dyktatu. Nawet ów kluczowy dokument – „Protokół...”, zawierający odnośne ustalenia, na zakończenie mówił o realizacji: „po miere wozmożnosti” – w miarę możliwości. W praktyce często z tego korzystaliśmy. Zresztą niemal wszystkie rozwiązania i dokumenty koalicyjne rodziły się w bólach, z reguły po długotrwałych konsultacjach, dyskusjach, sporach. Tylko na bankietach i w gazetach kwitł uroczysty banał, gesty, uśmiech. W praktyce, w roboczych fazach dbałość o interes naro-

dowy, o własne siły zbrojne, była na pierwszym miejscu. Chociażby dla przykładu podam, iż pozostawaliśmy nieczuli na rekomendacje, nalegania, aby mieć przynajmniej tyle czołgów (mieliśmy ich zresztą dużo), ile posiadała ponad dwukrotnie mniejsza od Polski Czechosłowacja. Odrzucaliśmy też systematycznie ponawiane sugestie, aby przedstawiciel Naczelnego Dowództwa Zjednoczonych Sił Zbrojnych, który znajdował się u nas tylko przy wojskowej „Centrali”, mógł podobnie jak w innych państwach bloku, mieć personalne odgałęzienia przy dowództwach okręgów, rodzajów sił zbrojnych, a nawet dywizji. A już wręcz obsesyjne – i oczywiście bezskuteczne – było kwestionowanie instytucji kapelanów wojskowych. Dotyczyło to zresztą wielu innych, odpowiadających naszym tradycjom, założeniom i możliwościom, oryginalnych rozwiązań – używając starego nazewnictwa – i w sferze bazy i w sferze nadbudowy.

Na dwa obszary pragnę zwrócić szczególną uwagę. Jeden to front wewnętrzny, szeroko rozumiana obrona terytorium kraju. I drugi to uzbrojenie, technika. Można spotkać się z wypowiedziami i publikacjami, które świadczą o co najmniej nieznajomości naszego dorobku w tych dziedzinach. Nie wiem, jaki jest obecny stan obrony terytorium kraju. Dobrze, iż Akademia Obrony Narodowej uruchomiła różnego rodzaju formy studiów, szkolenia, poszerzającego wiedzę wojskowych i cywilnych kadr w zakresie funkcjonowania państwa, jego organów w warunkach zagrożenia. Ja jednak mam mówić o czasie minionym. Aby scharakteryzować ówczesną

obronę terytorium kraju, potrzebny byłby odrębny, obszerny referat. To było nasze polskie oryginalne, w pełni suwerenne rozwiązanie. Żaden kraj bloku nie stworzył takiej koncepcji, nie zbudował takiej struktury, nie prowadził takiej działalności. Cechowała ją powszechność. Był to – bo nie wiem, jak jest obecnie – wielopiętrowy, wszechogarniający system od najwyższych do najniższych ogniw i szczebli państwa – administracji, gospodarki, organizacji państwowych i społecznych, służby zdrowia, nauki, kultury itd. Komitety Obrony, terenowe sztaby, jednostki wojskowe, paramilitarne i obrony cywilnej różnych specjalności i typów, stanowiska kierowania od szczebla centralnego (Czerwony Bór i Zegrze) poprzez resortowe, wojewódzkie, i niżej oraz ćwiczenia, liczne ćwiczenia, włącznie z wielodniowymi, przeprowadzanymi w skali ogólnopaństwowej „Kraj-67” i „Kraj-73”, pod formalnym kierownictwem premiera, a faktycznie przygotowanymi przez instytucje centralne MON, głównie Sztab Generalny oraz Inspektorat Obrony Kraju z generalnym inspektorem – wiceministrem obrony narodowej na czele. Dodam, iż 50 procent składu sił zbrojnych weszłoby w czasie wojny w skład koalicyjnego zgrupowania. Następne 50 procent to różnorodne jednostki pozostające w systemie obrony terytorium kraju. Ich wysoko wyspecjalizowanym ogniwem były zwłaszcza Wojska Obrony Powietrznej, których system dowodzenia był nadrzędny wobec odnośnych środków innych armii znajdujących się, lub przegrupowujących się przez teren Polski. Ważne miejsce w układzie terytorialnym zajmowały formacje Wojsk Obrony Wewnętrz-

nej, Wojsk Ochrony Pogranicza oraz - co prawda siermiężne - jednostki obrony terytorialnej. Warto też zauważyć, iż znaczna część wojsk pozostających na terenie kraju „nie czekała po prostu na wojnę”, ale spełniała gospodarczo i strategicznie ważne zadania. Chociażby znaczny udział w rozwoju infrastruktury - tras kolejowych i drogowych, mostów, obwodnic, lotnisk, schronów itd. Po dzień dzisiejszy służy to dobrze krajowi, oczywiście także jego potrzebom obronnym. To nie jest westchnienie do przeszłości. Po prostu w gospodarce wolnorynkowej zadania te powinny być realizowane inaczej. Jak jest faktycznie, nie potrafię powiedzieć. Nie wiem też, jakie środki i mechanizmy mają zapewnić niezbędne przygotowania i świadczenia obronne ze strony przedsiębiorstw prywatnych, w tym będących własnością kapitału zagranicznego. Jest to niewątpliwie bardzo złożony problem.

A teraz uzbrojenie, technika. Znów zachęcam do zainteresowania się - chociaż w świetle obecnej sytuacji przemysłu zbrojeniowego i w ogóle problemu wyposażenia sił zbrojnych - może to przyprawić o kompleksy. Jak spojrzeć na ten obszar pod kątem dzisiejszego tematu? Powiem krótko - polski przemysł zbrojeniowy, jego zaplecze naukowo-badawcze, sieć instytutów wojskowych, awangardowa, słynna wówczas Wojskowa Akademia Techniczna - to było intelektualne i materialne bogactwo oraz nasz wielki atut. Co najistotniejsze - szeroki eksport produkcji wojskowej do państw sojusznicych, zwłaszcza do Związku Radzieckiego bilansował się z importem uzbrojenia, którego wykonanie przera-

stało nasze możliwości. Jak wyglądało to w praktyce? Przykładowo masowa produkcja i eksport śmigłowców, samolotów niższych klas, różnych lotniczych konstrukcji. A jednocześnie w latach 80. mogliśmy zakupić 97 samolotów bojowych SU-22, plus 20 tychże samolotów szkolnych, a więc łącznie 117. Wówczas należały one do nowoczesnych maszyn. Zresztą jeszcze i dziś oceniane są dobrze. W „równoważącej filozofii” traktować również można import samolotów Mig-29, niektórych typów rakiet oraz innego rodzaju nowoczesnego i drogiego uzbrojenia. Ponadto eksport broni do państw trzecich przynosił poważne wpływy dewizowe. Obok produkcji opartej w większości na bezpłatnych radzieckich licencjach oraz konsultacjach potężnych radzieckich biur konstruktorskich mieliśmy liczne własne rozwiązania. Na przykład niektóre typy stacji radiolokacyjnych, systemów kierowania ogniem i automatyzacji dowodzenia, sprzętu inżynieryjno-saperskiego, chemicznego, broni strzeleckiej, okrętów. Część z nich znajdowała eksportowe wzięcie. Co więcej, wysoki poziom niektórych pozwalał wejść, jako samodzielne rozwiązanie, w zintegrowany system dowodzenia obroną powietrzną Układu Warszawskiego, sprzęgając polskie CYBERY i DUNAJCE z radzieckimi WEKTORAMI. Trzeba wyraźnie powiedzieć - to układowe usytuowanie było per saldo dla nas korzystne. W tej konkretnie sferze dylemat - czy suwerenność, czy Układ Warszawski - tracił na ostrości.

Pokazując różne oblicza i różne konsekwencje tamtych realiów, daleki jestem od ich idealizacji. Wręcz przeciwnie. Nie zamykam oczu, pamiętam, co było

pierwotnym i podstawowym obciążeniem, dotkliwym ograniczeniem suwerenności. Znane jest jeszcze przedwojenne powiedzonko: „nie to się lubi, co się lubi, ale to się lubi, co się ma”. To była nasza ówczesna rzeczywistość. Podstawowym celem i zadaniem była taka linia działania, która minimalizowałaby czynniki negatywne, a maksymalizowała pozytywne. Były dwa ku temu zasadnicze sposoby. Pierwszy – to po prostu być dobrym wojskiem, przodować, wyróżniać się w miarę możliwości na każdym polu, zachowując przy tym swoisty styl i koloryt. Jak często mówiłem „robić punkty dla Polski”. Przecież nie przypadkiem nam przypadł udział, wyeksponowana rola w pokojowych misjach ONZ. I drugi – podkreślać sojuszniczą lojalność, autentyzm braterstwa broni, wspólnotę społeczno-politycznych ideałów. Krótko mówiąc – wbrew tradycyjnej u nas mentalności, uznać za ważniejsze, to co pragmatyczne, niż to co ambicjonalne. To ksenofobicznym pięknoduchom i „księżycowym” recenzentom mogło się nie podobać. Ale dla nas to był klucz do sprostania realistycznie rozumianej racji stanu, zapewnienia bezpiecznego bytu i rozwoju narodu, w tym zdolności do rozwiązywania trudnych, polskich problemów we własnym zakresie, własnymi siłami. Opinia społeczna jest wiarygodnym sędzią. Że Wojsko Polskie tym wymaganiom sprostało świadczyły niezmiennie wysokie jego notowania. Jest to również zobowiązanie, by mówić prawdę i bronić prawdy o tamtych czasach. To nie apel o bezkrytycyzm. Mam świadomość ówczesnych i wad wrodzonych, i defektów realizacyjnych, a przede wszystkim bagażu uwarunko-

wań, ujętych syntetycznie w tytule tego odczytu. Więc ani nostalgii, ani piętnowania. Wszystko trzeba oceniać w kategoriach czasu realnego. Sytuacja historyczna jest nowa. Ale to nie znaczy, że Wojsko III Rzeczypospolitej powstało na ruchomych piaskach, na spalonej ziemi. Przez lata i dziesięciolecia była budowana konstrukcja kadrowa, naukowa, szkoleniowa, logistyczna. Nawet konieczna, głęboka, wielowymiarowa reforma tego rodowodu, w tym ludzkich życiorysów, nie przekreśla. Życzę Kolegom, ażeby w nowej, szczęśliwszej niż minioną sytuacji, ażeby w nowym zdrowszym sojuszu, ażeby w spełnianiu żołnierskiej, patriotycznej powinności uzyskali pełnię powodzenia i satysfakcji.



AON Wydział
Wydawniczy